

Moja walka z rakiem

(73)

17 czerwca 2020

Wyjechałem busem ze Stalowej Woli o 5.45 i byłem w Rzeszowie o 7.05, a w szpitalu na Szopena o 7.30. Stawiłem się na oddziale urologicznym, czekając na lekarza. Nikt nie powiedział mi oczywiście, że muszę przejść całą procedurę przyjęcia i zacząć trzeba moją wizytę od izby przyjęć i wybrać stamtąd moją kartotekę, w której jest historia choroby. O 8.15 zszedłem na dół i stanąłem w małej już kolejce, bo wcześniej, gdy przechodziłem rano przez bramę, była dość długa. Na szczęście nie padało. Dość szybko dostałem moje dokumenty, a potem z nimi do łazienki, gdzie musiałem się przebrać i czekać, aż przyjdzie ktoś, kto nas, pacjentów, zaprowadzi po przebraniu się najpierw do zrobienia kardiogramu i zdania ubrań do magazynu, a potem na oddział. Trwało to wszystko około półtorej godziny, ale nie obyło się bez złośliwości. M.in. gdy siedzieliśmy w łazience już przebrani i nie wiemy, co dalej robić, przychodzi żołnierz, który ma nas rzekomo zaprowadzić na oddział i pyta, a co to kółko różańcowe? W końcu przyszła jakaś pani ubrana w cywilne ubranie i zaprowadziła na oddział. W drzwiach oddaliśmy pielęgniarce swoje papiery i nadal czekamy. Każdego chorego przywołują indywidualnie. Wreszcie przyszła kolejka na mnie. Po zważeniu i założeniu wenflonu kierują mnie do sali nr 3. Wypełniam na oddziale różne papiery i ankiety związane przed wszystkim z operacją i znieczuleniem, niezbędne dla anestezjologa, który osobiście odbiera dokumenty. Na sali jest 5 łóżek. Poprzednio – jak pamiętam – a leżałem na sąsiedniej, czwórce, było po 6. Domyślałem się, że to ze względu na pandemię i obostrzenia sanitarne. Potem przychodzi jeszcze jeden lekarz i poleca się przygotować do jutrzejszej operacji, zleca badanie grupy krwi i nakazuje wykąpać się i ogolić porost wokół genitaliów. Wykonanie poleceń lekarza sprawdza pielęgniarka oddziałowa. Na sali jest tylko 2 pacjentów: ja i jakiś młody człowiek, 25-letni, z Nowego Sącza. Nikt z nas nie ogląda telewizji, nie dyskutujemy też o polityce. Panuje błogi spokój. Mówię do pielęgniarki: „No teraz macie prawdziwy komfort pracy”. Odpowiada: „Nie chcemy tego komfortu i tęsknimy za normalnością, tak jak było dawniej”. Dzięki temu, że jest taki spokój, wyciągam z torby zaległą „Twórczość” i rozpoczynam lekturę. Najbardziej zainteresował mnie tekst wspomnieniowy Marka Sołtysika „Śliwiak (i ja)”, powraca w nim do pracy w redakcji „Życia Literackiego”, którego byłem przez wiele lat wiernym czytelnikiem, i wspomina swoich przyjaciół i znajomych. Głównym bohaterem

jest oczywiście Tadeusz Śliwiak. Dzięki temu pogłębiłem swoją wiedzę o krakowskim środowisku literackim lat 70. i 80. Towarzyszyły tej lekturze smutne refleksje. Pomyślałem sobie, a może i dobrze, że tam, w Krakowie, nie zostałem w młodości literatem. Myślę tu o moich marzeniach, jakie mi wtedy towarzyszyły, w konfrontacji z egzystencją, jaka mnie czekała. A czy Jerzy Pilch mówił co innego o swoich początkach? A inni? To samo.

18 czerwca 2020

Rano już wykąpany i przebrany w koszulę przenoszę się na salę przedoperacyjną, gdzie otrzymuję dożylnie jeszcze różne płyny w postaci kroplówek. Cukier spadł mi poniżej 90, trochę za mało, więc dają mi jeszcze insulinę. Jestem przecież od wieczora na głodówce. Zrobiono mi nawet lewatywę, aby w odbycie nie zostało nic kału. Podczas wizyty dowiaduję się, o której będę miał operację: w okolicach godziny 12.00. Faktycznie zabierają mnie o 11.45. Wszystko jest precyzyjnie wyliczone, każdy zabieg. Najpierw zajmują się mną anesteziolodzy, które ustawiają mnie na stole siedząc i jedna z nich wbija igłę w okolicach kręgosłupa i wstrzykuje środek znieczulający. Nogi zaczynają mi drętwieć a personel kobiecy układa mnie w pozycji leżącej. Zakładają mi też maseczkę tlenową na twarz. Za chwilę przychodzą urolodzy i zaczyna się operacja. Leżę spokojnie i rozmyślam jak zwykle o moim życiu i śmierci. Dochoǳą do mnie odgłosy rozmów operujących lekarzy. Nie staram się jednak niczego zrozumieć. Słyszę tylko, gdy jeden z nich mówi, że poprzednio zrobiono mi coś niefachowo. Po operacji, którą wykonał dr Pabiś, przywożą mnie z powrotem na salę przedoperacyjną, gdzie mam być aż do rana. Mocz z pęcherza spływa przez cewkę do plastikowego worka. Jestem podłączony też do monitora i dają mi kilka kroplówek. Ruchy mam skrępowane, ledwie mogę się odwrócić na bok. Muszę uważać, by czegoś nie zepsuć. I tak będzie trwać całą noc aż do rana. Wśród tych kabli i rurek udaje mi się jednak zasnąć. Jak długo nie wiem. O 6.00 zaczyna się pobudka. Na sali robi się ruch. Odłączają mnie od monitora, podobnie jak pozostałych pacjentów, i przewożą z łóżkiem, które jest na kółkach, na salę nr 3. Zaczyna się nowy dzień.

19 czerwca 2020

Po dzisiejszej wizycie już wiem na pewno, że nie wrócę do domu, choć przed operacją takie miałem jeszcze złudzenia. Zatem będę do poniedziałku. Dzwonię do Halinki, by jej powiedzieć, że nie ma co na mnie dziś liczyć, gdyż zostanę tu do poniedziałku. Co jakiś czas dostaję nowe kroplówki, m.in. antybiotyki i środki przeciwbólowe. Cały czas mam cewnik, którym spływa krwiomocz do plastikowej torby,

która jest przytroczona zmyslnym plastikowym wieszakiem do łóżka. Na razie komplikacji żadnych nie ma, ale jak będzie dalej, trudno powiedzieć. Na salę w godzinach rannych przybywa nowy pacjent, po sześćdziesiątce, z Biłgoraja. Ma jutro operację. Jest znajomym ordynatora, dr Ławińskiego, który się nim opiekuje. Wkrótce jednak na sali znów będzie nas tylko dwóch, bo pan Marcin z Nowego Sącza, otrzymuje około 13.00 dokumenty i wraca do domu. Przyjedzie po niego samochodem brat. Droga z Nowego Sącza do Rzeszowa wynosi ponad czy blisko 200 km. Dzięki niemu miałem bieżące informacje o tym, co się dzieje na gieldzie, bo miał taką aplikację w telefonie. Teraz to się skończyło. Niestety! O 13.30 na sali pozostają już tylko sam, bo pan z Biłgoraja został przeniesiony na salę przedoperacyjną. Dzwonię do Halinki po południu, by jej przekazać wiadomości o moim zabiegu i samopoczuciu. Jak na razie jest dobre. Ona zaś opowiada o Patrycji i wydarzeniach z naszego blokowiska, m.in. że zmarł jakiś sąsiad, którego jednak nie kojarzę. Zapytam o to, gdy wrócę. Patrycja ma okropnych sąsiadów, którzy wparowali do jej mieszkania i zrobili awanturę, że dzieci, Paulinka i Mateusz, zbyt głośno się zachowują. – Natomiast innym – mówi ze złością córka – ma nie przeszkadzać, gdy ci państwo wieczorami słuchają głośnej muzyki – dodaje. Najgorsze jest to, że ta pani właśnie to nauczycielka. Kim jest on, nie wiadomo. Patrycja następnego dnia postanowiła z Krzyśkiem poskarżyć się policji. Tam dowiedziała się, że partner sąsiadki z dołu, musiał mieć jakieś problemy z prawem, bo policja kazała sprawę oddać do sądu lub prokuratury o naruszenie nietykalności osobistej. Jak dalej sprawa się potoczy, nie wiem.

Dziś po południu przeszły nad Rzeszowem gwałtowne burze z piorunami. Na oddziale jednak spokój, na salach jest 1, powyżej 2 pacjentów. Windą zjechałem na dół do sklepu, by zakupić wody niegazowanej i przy okazji wziąłem też 2 laski kabanosa, gdyż nie jem tego, co podają mi w szpitalu. Podczas obiadu zupę zwymiotowałem. Zdążyłem jednak zrobić to w toalecie. Niestety, wszystko, co teraz jem, nawet zupę mleczną i coś tam jeszcze, odpokutuję w nocy. Po kabanosie i lekach mam kłopoty gastryczne. A potem, gdy chcę się wypróżnić, niestety nie mogę. Obudzony ze snu lekarz dyżurny powiedział, była już godzina 22.00, że na noc niczego się nie daje, żadnych leków, także nie robi lewatywy, muszę z tym poczekać aż do rana. Zaczęła się dla mnie ciężka noc. Ciągłe wychodzę do toalety z workiem pełnym krwiomoczem i próbuję się wypróżnić. Jakaś ulga przychodzi dopiero około 1.00 w nocy. Udaje mi się potem zasnąć.

cdn.

Miroslaw Osowski

